

DOMIBRZO

Z Tuligłów do Jerzmanic Zdroju – moja historia rodzinna.

Tuligłowy i Jerzmanice – dwie przeciwległe miejscowości - jedna to wschodnie tereny Polski, druga - Ziemie Odzyskane. A co mają ze sobą wspólnego? Łączą je losy mojej rodziny ze strony taty. Mam na imię Dominik i jestem uczniem szkoły ponadpodstawowej. Mieszkam w Jerzmanicach Zdroju, interesuję się bardzo historią mojej miejscowości, a także miasteczka, niedaleko którego ona jest położona, czyli Złotoryi. Jako przedstawiciel najmłodszego pokolenia w mojej rodzinie postanowiłem zgłębić jej historię i pochodzenie. Od babci - **Stanisławy Brzostek** z domu **Stańczyk** (fotografia po prawej stronie) dowiedziałem się, że Jerzmanice Zdrój, po zakończeniu II wojny światowej stały się nowym domem jej rodziców, czyli moich pradziadków. Zastanawiałem się, co było powodem osiedlenia się ich właśnie tutaj. Babcia opowiedziała mi wiele ciekawych historii, które z kolei opowiedziała jej mama, czyli moja prababcia. Były to wspomnienia o domu rodzinnym w Tuligłowach, o przeżyciach związanych z życiem na Ziemiach Odzyskanych. Dzięki rozmowie z babcią poznałem losy moich przodków i postanowiłem te wspomnienia spisać jako pamiątkę mojej rodziny.



Babciu, opowiedz mi, skąd pochodzili twoi rodzice.

Moja mama, a Twoja prababcia – **Maria Stańczyk** z domu **Podkomórka**, pochodziła z wioski Tuligłowy, położonej dwadzieścia kilometrów od Przemyśla. Pochodziła z biednej rodziny chłopskiej. Urodziła się w 1931 roku jako drugie dziecko. Było ich w domu siedmioro. Rodzice i pięć córek.



Fot. Tuligłowy – miejscowość w województwie podkarpackim, gmina Rokietnica.

Opowiedz mi o swoich dziadkach. Znałaś ich?

Bardzo słabo znałam dziadka, bo zmarł w połowie lat 60-tych, ale na pewno pamiętam, że miał podwijany wąs (*babcia się uśmiecha*). Babcia i dziadek, czyli twoi prapradziadkowie, prowadzili swoje gospodarstwo i żyli z tego, co udało im się wyhodować. Żyło im się bardzo biednie. Babcia miała jeszcze siostrę, która była zakonnica w twardym zakonie karmelitanek bosych w Przemyślu i stąd mieli trochę pomocy. Przy cięższych pracach w sadzie dziadek pomagał zakonnicom i w zamian dostawał trochę pieniędzy bądź ubrania, herbatę, cukier. Moja mama, a twoja prababcia, też tam czasem pracowała, a miała wówczas nie więcej niż osiem lat.



Fot. Moi prapradziadkowie – Weronika i Łukasz Podkomórkowie

Dziadkowie mieszkali w starym domu. Był to drewniany dom pomalowany wapnem z farbą o barwie ultramaryny, żeby miał niebieskawy kolor. Wchodziło się do sieni (korytarza), a z niej do jedyne go pokoju i tylko w nim była podłoga drewniana. Stały w nim dwa połączone ze sobą drewniane łóżka, szafa, duży kufer i toaletka z dużym lustrem, stół, cztery krzesła i kredens z witryną. W tym kredensie były szklanki i porcelanowe talerze przeznaczone dla gości, bo na co dzień rodzina używała emaliowanych naczyń. W sieni i w kuchni nie było podłogi, tylko klepisko. W kuchni stał piec do pieczenia chleba i kuchnia węglowa. Był wymurowany z cegły szamotowej klejonej gliną. Obok pieca stała ława z wiadrami na wodę, bo wodę trzeba było brać ze studni od sąsiada z za drogi. Stał też stół z krzesłami i szafka na naczynia. W kuchni były jeszcze dwa metalowe łóżka, a między nimi, pod oknem, maszyna do szycia. Z sieni wchodziło się też do spiżarni i po drabinie na strych. Wychodek znajdował się za oborą. Później dziadek wybudował nową oborę i stodołę. W oborze był koń, trzy krowy, świnie, ale też kury, kaczki i czasem gęsi.



Fot. Tuligłowy - dom rodzinny moich pradiadków – Marii i Mieczysława Stańczyków

* * *

Odkąd pamiętam, na każde wakacje jeździliśmy z Jerzmanic do Tuligłów w połowie sierpnia i spędziliśmy tam dwa tygodnie. Dziadek po wakacjach odwoził nas wozem konnym na pociąg. Później jeździliśmy tam, aby pomóc przy żniwach, ponieważ po śmierci dziadka gospodarką zajęły się babcia i ciocia, a pomagał im brat babci. W tych czasach nie było maszyn rolniczych. Zboże kosili mężczyźni kosami, a kobiety wiązały snopki. Do wiązania snopków potrzebne było powróśło, które skręcały starsze dzieci, a te, które nie umiały, stawiały snopki

w mendle (kopy). Później zboże było zwożone do stodoły wozem drabiniastym ciągniętym przez konie.

Na dachu stodoły było bocianie gniazdo. O wschodzie, gdy bociany klekotały, to wybiegałam razem z siostrą oraz kuzynką i krzyczałyśmy: „Bocian kiszka, przynieś nam braciszka!”. Po kilku latach tak też się stało (*babcia się uśmiecha*). Chociaż było mało miejsca, a nieraz przyjechało nas tam sześć osób, to każdy znalazł miejsce na nocleg (w stodole na sianie, na łożku mama z najmłodszymi dziećmi, a kto bał się spać w stodole, na siennikach koło łożka). Mimo dużej liczby gości, jedzenia było pod dostatkiem. Babcia piekła chleb, mieli dużo mleka, robili masło, ser, a ziemniaki i inne warzywa mieli na polu. I nie było problemu z przyrządzaniem posiłków.

Co ciekawego jeszcze, oprócz pracy w polu i w gospodarstwie, można było robić w Tuligłowach?

Pora naszego przyjazdu wiązała się z odpustem, który odbywał się tradycyjnie 15 sierpnia w dzień Matki Boskiej Zielnej, w kościele Matki Boskiej Tuligłowskiej Dobrej Nadziei (fotografia obok). Odpust ten był bardzo uroczysty. Rozpoczął się już 14 sierpnia. Po południu przychodziły pielgrzymki z całej okolicy. Wieczorem było słychać śpiewy pielgrzymów, którzy przychodzili polnymi drogami. Na tym odpuscie było dużo osób przyjezdnych, takich jak na przykład my. Uroczystości odpustowe zaczynały się wieczorem, 14 sierpnia. Były różne nabożeństwa. O północy była uroczysta msza z procesją dookoła kościoła. W czasie procesji pielgrzymi nieśli figury świętych, obrazy przystrojone kwiatami i sztandary ze swoich parafii. Dnia 15 sierpnia w południe, odprawiana była suma odpustowa. W dzień odpustu, przed kościołem od samego rana stało dużo straganów. Na odpuscie najważniejszym zakupem była trocinowa piłeczka „jojo” na gumce, piszczałka i pukawka, a także sznury obwarzanek, całuski (rózaniec zrobiony z małych biszkopcików, przyozdobiony kolorową bibułka) i cukierki - rybki. Po południu w remizie strażackiej była organizowana potańcówka. Mimo trudnych warunków - bez wody, łazienki i toalety. To miejsce przyciągało jak magnes, chciało się tu wracać. Jak już byłam dorosła, jeździłam do Tuligłów sama, a później kilka razy byłam tam ze swoją rodziną.



* * *

W czasie naszego pobytu u babci, obowiązkowo musieliśmy odwiedzić ciocię w zakonie w Przemyślu. Jechała z nami wtedy inna ciocia, która była naszą przewodniczką. Na wejściu trzeba było zgłosić, kto i do kogo przyjechał. Wtedy informowano nas, do którego pokoju należy się udać. Ponieważ był to zakon twardy karmelitanek bosych, nasze widzenie nie mogło odbywać się w tym samym pomieszczeniu. My byliśmy w jednym pomieszczeniu, w którym był stół i krzesła, a ciocia w drugim. Widzieć mogliśmy ją tylko przez okno w ścianie oddzielającej te dwa pomieszczenia. Okno to było zakratowane (z lufcikami, aby móc się słyszeć), a od strony odwiedzających, na kracie były grube, naostrzone pręty. Gdy cioci nie było jeszcze w pomieszczeniu, okno było zasłonięte czarną zasłoną, a gdy już przyszła, to je odsłaniała. Początkowo zakonnice w tym zakonie miały golone głowy (z czasem z tego zrezygnowano) i nie mogły opuszczać gmachu klasztoru. Mogły siedzieć tylko w swoich celach i modlić się w skupieniu. W czasie odwiedzin, które trwały około dwóch godzin, byliśmy częstowani obiadem przygotowywanym przez zakonnice, które nie należały do tego zgromadzenia, co ciocia i to one opiekowały się całym zakonem. Zawsze ta wizyta robiła na mnie ogromne wrażenie. Trudno mi było pojąć, dlaczego niektórzy decydują się na życie z takimi rygorami. Nie miałam nigdy sposobności porozmawiać o tym z ciocią.

Jak to się stało, że twoi rodzice zdecydowali się opuścić rodzinne strony?

Nie przyjechali tu razem, bo wtedy się jeszcze nie znali (*babcia się uśmiecha, gdy to mówi*). Minęły ze trzy lata, zanim ich los połączył. Ale najpierw opowiem, jak to było z mamą. Otóż w 1944 r., kiedy zbliżał się koniec wojny, do Tuligłów wkroczyła Armia Czerwona, a rok później rozpoczęto masowe wysiedlenia Polaków. Sąsiad twojej prababci, który był urzędnikiem państwowym, dostał zadanie, żeby zaludnić Ziemię Odzyskaną i tam nakłonić ludzi do pracy w Państwowym Gospodarstwie Rolnym (w skrócie PGR). To on namówił moich dziadków, aby córka mogła wyjechać z nim do pracy. Większość przesiedlanych osób osiedlona została na Dolnym Śląsku. Było to w 1948 roku. Twoja prababcia była wtedy bardzo młoda, miała 17 lat. Zamieszkała w Bad Hermsdorf, dzisiaj Jerzmanice Zdrój i początkowo pracowała u tego sąsiada jako opiekunka do dziecka. Później na okres zimowy wróciła do domu rodzinnego, a na wiosnę powróciła już na stałe na Ziemię Odzyskaną.

Sama jej podróż trwała około dwóch dni. Jechała w wagonie bydłowym, ponieważ opiekowała się w czasie podróży koniem, którego sąsiad wysyłał swojemu przesiedlonemu synowi. Po przybyciu na miejsce dostała kwaterek w pokojach dla pracowników sezonowych. Zaczęła lekką pracę w PGR przy zbieraniu zboża i plewieniu. Do pracy

w Jerzmanicach przyjeżdżało dużo pracowników sezonowych z różnych stron, najwięcej osób było z Podkarpacia i Kieleckiego. Urzędnicy musieli zapewnić im nocleg i wyżywienie. Kiedy zachorowała kucharka, która zajmowała się gotowaniem posiłków dla przyjezdnych, ten urzędnik, z którym moja mama przyjechała, zatrudnił ją w kuchni. Jak tylko PGR w pełni się rozwinął, ten sąsiad - urzędnik powrócił w rodzinne strony (bo wykonał swoje zadanie).

Część pieniędzy, które tutaj zarabiała, wysyłała do domu rodzinnego bądź robiła paczki żywnościowe, a nawet kiedyś zamówiła u stolarza wóz konny i go tam wysyłała. Zdarzało się tak, że gdy jechała na urlop do domu rodzinnego, siostry wymuszały na niej, aby zostawiła niektóre ubrania, ponieważ nie było ich na nie stać, a bardzo im się podobały. Po powrocie mama uzupełniała swoją garderobę.

Mój tata, a twój pradziadek, pochodził z okolic Włoszczowy, z miejscowości Ewelinów. Przyjechał tu jako pracownik sezonowy (od wiosny do jesieni). Większość młodzieży, która przyjeżdżała tu do pracy, zakładała rodziny i się osiedlała. Wśród nich był też mój ojciec, którego widocznie zauroczyła kuchnia mojej mamy. W lipcu 1951 roku wzięli ślub, najpierw kościelny, ale zaraz potem przyszło zarządzenie, że muszą wziąć też ślub cywilny. Wzięli go na początku 1952 roku. Ja urodziłam się w listopadzie 1957r. w złotoryjskim szpitalu.



Fot. Moi pradziadkowie – Maria i Mieczysław Stańczykowie

Czyli życie twoich rodziców cały czas zmieniał się na lepsze.

Gdy się pobrali, dostali mieszkanie, bo do tej pory mieszkali w pokojach dla pracowników sezonowych (kilka osób w jednym pokoju). To mieszkanie umeblowali meblami pozostawionymi przez dawną ludność niemiecką. Dużo nie potrzebowali, tylko podstawowe meble. Początkowo pracowali przy produkcji roślinnej, a z biegiem czasu, gdy do gospodarstwa zostało sprowadzone bydło, tato je obrządzał, co wiązało się z lepszym zarobkiem. Dzięki temu wymieniali stare rzeczy na nowe oraz dbali o swoją garderobę. Odzież zamawiali w Legnicy u krawców żydowskich. Tato miał ukończonych tylko sześć klas szkoły podstawowej, a dopiero w Złotoryi kończył siódmą i ósmą klasę w szkole wieczorowej dla pracujących. Dzięki temu mógł uczestniczyć w różnych kursach, aby podnieść swoje kwalifikacje zawodowe. Zrobił nawet kurs inseminatora. Początkowo inseminował (zapładniał) krowy z PGR-u, a później dostał pozwolenie na inseminowanie krów u chłopów ze wsi, co wiązało się z dodatkowym dochodem.

W tym czasie pracownikom PGR-u przysługiwało półtora litra mleka, a na członka rodziny po pół litra dziennie. Mieliśmy więc codziennie cztery litry mleka, co było dla nas za dużo. Robiliśmy z niego śmietanę, masło i ser. Oprócz tego rodzice hodowali świnię, kury, kaczki i króliki, i stąd mieliśmy mięso.

* * *

Nasi rodzice nigdy nie mówili nam, że nas kochają. Nie okazywali zewnętrznie uczuć. Mimo to czuliśmy ich miłość, troskę o nas, czuliśmy się bezpiecznie i czuliśmy że jesteśmy kochani.



Fot. Starszy brat babci, babcia Stanisława (w wózku) i prababcia Maria

Nigdy nie brakowało nam jedzenia, zawsze mieliśmy w co się ubrać, zimą mieliśmy ciepło w domu i ogólnie byliśmy dobrze traktowani. Tato kupił nam nawet telewizor, żebyśmy nie musieli chodzić do sąsiada. Był to jeden z trzech telewizorów we wsi. Pierwszy zakupiło kierownictwo PGR-u do świetlicy - dla pracowników, a drugi kupił sąsiad. Od chwili zakupu telewizora nasz pokój zamienił się w salę kinową. Dzieci przychodziły na bajki "Jacek i Agatka", "Gąska Balbinka", "Miś z okienka". Mężczyźni przychodzili na dziennik telewizyjny, a w maju na kolarski Wyścig Pokoju. Kobiety oglądały seriale. Krzesła przed telewizorem ustawialiśmy w rzędzie. Było to dla nas czasem uciążliwe, bo sąsiedzi oglądali telewizję do późnych godzin wieczornych. Raz mieliśmy przypadek, że dziecko sąsiadów nie chciało pójść do domu, mimo naszych próśb, więc brat wziął je na ręce i zaniósł pod ich drzwi. Chłopak jednak jeszcze szybciej wrócił, niż mój brat, bo chciał dalej oglądać, więc brat wyprowadził go za drzwi, które szybko zamknął. *(babcia się śmieje)*

* * *

Dzięki tej pracy moim rodzicom żyło się naprawdę dobrze. To pozwoliło im wspierać też swoje rodzeństwo, które pozostało w Tuligłowach. Któregoś razu, gdy mama pojechała tam na urlop, wróciła z niego ze swoją młodszą siostrą (na fotografii obok moja prababcia Maria Stańczyk z siostrą). Wzięła ją ze sobą, aby mogła sobie zarobić i odciążyć rodzinę. Początkowo mieszkała razem z mamą, a później założyła swoją rodzinę. Nawet gdy moi rodzice mieli już pięcioro swoich dzieci, to i tak pomagali rodzinie. Latem w czasie urlopu wyjeżdżali do domu rodzinnego, aby pomóc tam przy żniwach. Mama często wspominała z radością, że po pracy spotykali się wszyscy, śpiewali piosenki i rozmawiali ze sobą, po prostu byli zżyci. Mimo biedy wszyscy traktowali siebie równo. Nikt nikomu niczego nie zazdrościł.



Jakie masz, babciu, wspomnienia związane z twoim dzieciństwem? Na pewno inaczej niż twoi rodzice, którzy opuścili swoje rodzinne strony, odbierałaś otaczającą cię rzeczywistość lat 50-tych i 60-tych Ty nie musiałaś się przyzwyczajać do nowych warunków, bo się już tutaj urodziłaś.

W naszym domu nie słyszeliśmy, żeby rodzice się przy nas kłócili. Często mama powtarzała nam swoje złote myśli, takie jak np. "Kto latem leniuchuje, ten zimą głoduje.",

dlatego mama robiła bardzo dużo przetworów z różnych owoców. Zawsze mieliśmy pełną piwnicę ziemniaków, warzyw, trzy kamienne garnki ogórków kiszonych, beczkę kiszonej kapusty, obowiązkowo deptanej nogami. Rodzice nawzajem się wspierali, a każdą pracę, np. w ogrodzie czy przy obrządku zwierząt, wykonywali razem. Przy kiszeniu kapusty również pracowali razem: mama czyściła kapustę i kroїła główki na pół, tato ją szatkował pożyczoną od sąsiadów szatkownicą do dużej metalowej wanienki, a później mama deptała tę kapustę w beczce. Do deptania kapusty odpowiednio się przygotowywała, myła dobrze nogi szczoteczką, ubierała białe kalesony i czystą koszulę, a włosy związywała chustą. Do beczki wkładali też kilka całych główek kapusty, z której później robiła gołąbki. Wkładała też kilka jabłek. Kapusta była mieszana z marchewką i przyprawiana solą, liściem laurowym i kminkiem.

Pamiętam też imprezy organizowane u nas w domu. Najhuczniejsza była zabawa sylwestrowa. Tata miał na imię Mieczysław i 1 stycznia obchodził imieniny, dlatego każdy sylwester był organizowany u nas. Czasami bawiło się tam nawet dwadzieścia osób.

Kiedyś, pamiętam, przytrafiła się twojemu pradziadkowi taka zabawna, ale i dosyć niebezpieczna przygoda. Pojechał motorowerem (tzw. komarkiem) w odwiedziny do kolegi, do sąsiedniej wsi. W prezencie dostał słoik miodu, który włożył do siatki i powiesił na kierownicy. W czasie jazdy słoik uderzał o koło, pękł a miód kapał i rozbryzgiwał się na tatę i „komarka”. Dobrze, że było to już blisko domu, bo zaczęły zlatywać się pszczoły. Gdy podjechał pod dom, to zostawił motor i wszedł do środka. Za chwilę, gdy przyszedł, okazało się, że motor się rusza i bzyczy jak pszczoły, bo za zapachem miodu przyleciał ich cały rój. Było niebezpiecznie...

Rodzice nigdy nas za jakiś wybryk nie karali biciem, ale robili nam długie wykłady pouczające, które wydawały się gorsze od bicia. Nawet wtedy, kiedy wzięłam bez pozwolenia nowy rower taty i jeżdżąc nim po pegeerowskim placu, wjechałam niechcący w przyczepę. Rozbiłam wtedy światło przy rowerze i przyczepie. Tata na mnie pokrzyczał, a ja z płaczem powiedziałam, że lepiej, żebym sobie rozbiła głowę niż rower, na co tato odpowiedział, że całe szczęście, że nic mi się nie stało, a rower da się naprawić.

Rodzice uczyli nas, że trzeba być dobrym człowiekiem, szanować innych, i że trzeba ludziom pomagać i dzielić się z nimi. Zawsze nam powtarzali, żeby dać innym to lepsze, a gorsze zostawić dla siebie. Gdy staraliśmy się o pracę, to tata nam mówił, żebyśmy nie zaczynali od słów: "Za ile?". Dzięki tym wspomnieniom uświadomiłam sobie teraz, że mieliśmy cudownych rodziców i byliśmy szczęśliwą rodziną.

Babciu, dziękuję ci za te wspomnienia – teraz bardzo wiele rzeczy zrozumiałem.